

pani, nie można, aby nas nikt nie słyszał. Chodzi tu o pewnego człowieka, o Ludwika, niech pani uważa, że pani tego człowieka całowała — o Hanier'a.

Dziewczę milczało przez chwilę, poczem rzekło spokojnie: — Mów pan. słucham.

— Wiem, jakie stosunki panią z nim łączyły i zależy to tylko odemnie, czy świat się o tem dowie, czy nie. Rozumie mnie pani?

— Nie zależy mi zupełnie na ukrywaniu mojego stosunku z Hanier'em. Nie masz mi pan nic więcej do powiedzenia?

— Niech się pani nie sili przestraszyć mnie tym tonem — odparł nieznajomy. — Nie mówię bez przyczyny. Hanier był kochankiem pani. Ponieważ mąż pani o tem się dowiedział, oddał go przed kilku laty ze służby. Pani jednak nie przestała z nim się widywać. Kiedy się pani ostatni raz z nim widziała, na kilka dni przed jego śmiercią, zauważono, że pani go całowała, jego, człowieka, który był dawniej służącym pani! Posyłała mu pani podarki, ostatnim razem otrzymała... Mamże mówić dalej?

Jak się panu podoba! — brzmiała odpowiedź.

Dobrze. A więc ostatnim razem otrzymała od pani papierosnicę, własność męża pani. Jak pani widzi, wiem wszystko bardzo dobrze.

— Może być, ale nie rozumiem, po co pan to wszystko mówi?

— Więc niech pani słucha dalej. Mąż pani potrzebował z niewytłomaczonych powodów tej papierosnicy zaraz potem, jak pani ją dała Hanier'owi. Pytał się o nią. Pani się przestraszyła, chciała pani wmówić w niego, że papierosnica zginęła, ale ostatecznie stanowczość jego zwyciężyła, pani uznała swoją winę i wyznała mu wszystko, powiedziała mu pani całą prawdę.

— Jaką prawdę? — zapytała Linka.

— Że pani papierosnicę dała Hanier'owi i że on był kochankiem pani.

— To nieprawda! — rzekła Linka stanowczo. Spokój i śmiałość, z jaką Linka odpowiadała, zaimponowały nieznajomemu. Zaczął więc zaraz mówić dalej i nawet nie próbował zmienić głosu, jak poprzednio:

Widzi pani, że mówię prawdę, zresztą mogę o pani jeszcze udowodnić.

— Proszę!

— Wieczorem po wyznaniu pojechała pani wraz z mężem doróżką do domu Hanier'a. Z powodu spóźnionej godziny dom był już zamknięty. Pani podeszła ku bramie, mąż zaś został w doróżce. Pani powiedziała Hanier'owi, że wszystko odkryte i na prośby pani on oddał papierosnicę. Potem wróciła pani wraz z mężem do domu.

— Proszę dalej — rzekło dziewczę.

Przy ostatnich słowach nieznajomego zmieniło się całe jej zachowanie. Słuchała z podwójną uwagą i badawczym wzrokiem patrzyła na swego interlokutora.

— Papierosnicę mąż pani otrzymał tedy napowrót — ciągnął dalej nieznajomy — ale to nie uspokoiło go jeszcze. Dopóki Hanier żył, on nie mógł być spokojnym. Po pierwsze Hanier mógł być odkryć tajemniczą zawartość papierosnicy, a w takim razie mógł mu w ważnych sprawach grubo zaszkodzić. Po drugie Hanier mógł być się wygadać z tem, jaki stosunek łączył go z panią, pułkownik zaś nie chciał się narażać na plotki i skandale. To były główne przyczyny, które skłoniły męża pani do popełnienia zbrodni. Chce pani, abym pani powiedział, do jakiej zbrodni?

— Naturalnie. Jest to jedyny szczegół w całym pańskim opowiadaniu, który chciałabym poznać — odparła dziewczę spokojnie.

— Nieznajomy spojrzał na nią zdumiony.

— Pani ma silniejsze nerwy, niż myślałem. — Ale to pani nie obroni. Pani zapewne przypuszcza, że mówię tylko to, co słyszał, a ja mam dowody w ręce, proszę pani!

Podszedł ku niej i szeptał jej prawie do ucha. — Mąż pani owej nocy powrócił do domu Hanier'a i z zimną krwią go zastrzelił. Mąż pani jest mordercą i jeżeli gdziekolwiek opowiem to, co pani tutaj słyszy, to mąż pani pójdzie do więzienia, zginie z ręki kata.

Słowa te wypowiedziane tak cicho, że tylko Linka je słyszała, nie wywarły na nią jednak takiego wrażenia, jakiego się spodziewała nieznajomy. Cofnęła się trochę, patrzyła nań przez chwilę i zdawało się, że się serdecznie śmiała. Znać to było po masce na twarzy. Opanowała się natychmiast i rzekła:

— Czy pan będzie miał dowody na to, co pan powiedział przed chwilą, o tem raczej nie mówmy.

Ale zdaje mi się, że pan miał jakiś cel, wzywając mnie tutaj na schadzke. Mogłabym wiedzieć, jaki?

— Zatrzymam to wszystko w tajemnicy — mówił dalej nieznajomy stłumionym głosem — ale pod pewnymi warunkami.

— Proszę, pod jakimi?

— Musi mi pani udzielać objaśnień w pewnych sprawach i to zawsze, kiedy zażadam. Mąż pani stoi na czele tajnego stowarzyszenia, które jest wrogiem dla partii, jakiej ja służę. Mam podstawy do przypuszczenia, że pani o tem dotychczas nie wiedziała, więc przy sposobności udzieli pani bliższych w tej sprawie szczegółów. Na razie wystarczy, jeśli pani powiem, że mąż pani posiada największe zaufanie stowarzyszenia, zna wszystkie jego tajemnice i ma swej pieczy powierzone najważniejsze tajne dokumenty. Musi się pani dowiedzieć, gdzie on je przechowuje i postarać się je zbadać, aby mi o nich dać znać. Jeśli mi pani tego nie przyrzeknie, to ja doniosę o tem, com pani mówił, policji. Może pani wybierać. Na cóż się więc pani decyduje?



...Mąż pani jest mordercą i jeżeli gdziekolwiek opowiem to, co pani tutaj słyszy, to mąż pani pójdzie do więzienia i zginie z ręki kata...

— Może mi pan powie, kto pan jest? — zapytało dziewczę po chwili.

— Dowie się pani o tem we właściwym czasie. Naprzód mi pani musi dać przyrzeczenie.

— Nie potrzebuję już, aby mi pan swe nazwisko wymieniał, ja pana już poznałam — rzekło dziewczę, mierząc go badawczym spojrzeniem. — Gdybyś pan był wiedział, kto ja jestem, byłoby to dla pana znacznie lepiej. List pański nie był do mnie pisany, ale ja go czytałam. Zapomniałeś się pan podpisać. Nazwisko zaś, jakiego tam brakowało, brzmi — ja je panu wymienię — brzmi Robert Johnson!

Chociaż nieznajomy był zamaskowany, jednakże widać było, jakie piorunujące wrażenie zrobiły na nim te słowa. Bo odkrycie Linki było dlań prawdziwą niespodzianką. Wprawdzie znał on kobietę, do której pisał list i której schadzke naznaczył, ale znał ją tylko z widzenia, nie mając zaś nigdy sposobności do mówienia z nią, nie znał zupełnie jej głosu. Kobieta zaś, z którą teraz rozmawiał, a w której Czytelnik zapewne już się domyślił Linki Pond, znała naturalnie doskonale nie tylko jego głos, ale wszystkie jego ruchy. Spostrzegła się też od razu, z kim ma do czynienia; sama zaś potrafiła doskonale zachować swoje *incognito*, gdyż

ciekawą była, w jaki sposób on się będzie wyrażał o pułkowniku i o miss Desmond, bo zresztą z jego słów mogła sobie także wyrobić zdanie o jego charakterze. Kimże bowiem był ten Robert Johnson, któremu ona tak bezgranicznie ufała, którego nawet pokochała? Z pewnością nie takim, jakim im się wydawał! Może to rozbójnik, nihilista, wydrwigrosz?

Tego nie mogła na razie rozstrzygnąć.

W ostatnich dniach miss Desmond zwierzyła się Lince z pewnymi rzeczami, które dotychczas były dla niej tajemnicą. Stosunek ich wzajemny zmienił się więc zupełnie, stał się więcej bliskim, bardziej serdecznym. Linka wiedziała już, że podejrzenie jej co do zachowania się miss Desmond wobec Hanier'a było zupełnie nieuzasadnione, bo pułkownikowa nie złamała nigdy wiary małżeńskiej. Co do możliwości morderstwa, Linka samą myśl o tem odrzucała z największą pogardą. Posiadała przytem tę przytomność umysłu, która jej pozwalała wyciągnąć od Johnsona wszystkie szczegóły i nie dać mu się poznać. Johnson bowiem musiał

dojść do przekonania, że rozmawiał nie tylko nie z pułkownikową, ani nawet nie z Linką, lecz z kobietą zupełnie mu nieznaną, co mogło dla niego być bardzo niebezpiecznem.

Chociaż jednak Johnson widział, że jest zwyciężony, to jednak nie należał on do ludzi, których niepowodzenie od razu zniechęca. Raz pobity od razu postanowił się zemścić. Posunął się więc kilka kroków naprzód, chcąc nieznajomej zerwać maskę z twarzy i w ten sposób dowiedzieć się, co ona za jedna. Ale nieznajoma zdawała się przeczuwać, co on ma zamiar zrobić i cofnęła się wstecz, a w tej samej chwili z poza kotary wydarł się głośny krzyk, zasłona rozdarła się w połowie, ozwał się łomot spadających desek i pak. Zamieszanie, jakie wskutek tego musiało powstać na sali, dopomogło Lince w ucieczce.

Cóż się jednak stało?

Miss Desmond, znalazłszy się poza zasłoną, uważała z początku tylko na rozmowę, jaką prowadzono w niewielkiej od niej odległości. Wkrótce jednak przeszkodzono jej. Usłyszała bowiem przybliżające się ku niej ze sceny głosy, a zaraz potem spostrzegła pięciu panów, którzy tuż obok niej prawie, zasłonięci jeno kulisami, żywo ze sobą rozmawiali. Wszyscy mieli

na sobie czerwone domina i białe jedwabne maski. Widocznie byli przekonani, że są zupełnie bezpieczni, bo nawet dwóch z nich zdjęło maski, ale z powodu półmroku, jaki za zasłoną panował, miss Desmond nie mogła dojrzeć ich rysów.

Teraz tuż za nią rozległ się odgłos kroków. Spojrzała... jakaś czarna postać, jak kot, cicho i bez szelestu podchodziła ku miejscu, gdzie byli zebrani owi panowie w czerwonych dominach. Równocześnie jednak i oni posunęli się ku niej jeszcze bliżej, tak, że rozdzielało ich zaledwie cienkie płótno kulisy.

— Tu będzie lepiej! — rzekł ktoś obok niej.

Jakkolwiek brzmiały te słowa, w każdym razie jednak wywarły one na miss Desmond niesłychane wrażenie. Pułkownikowa poczęła się trząść nerwowo, w głosie tym poznała bowiem głos pułkownika.

A więc on nie pojechał do Filadelfii!

Pierwsza myśl, jaka jej przyszła do głowy, była: uciekać. Kiedy się jednak odwróciła, aby uciec, spostrzegła ową czarną postać, która właśnie chowała się za kulisę. Spostrzegła długą, wychudłą twarz, dwoje bystrych oczu.

(Ciąg dalszy nastąpi).